

**DANA  
PERINO**

---



**WSPOMNIENIA  
NAJSŁYNNIEJSZEJ  
RZECZNICZKI PRASOWEJ  
BIAŁEGO DOMU**

---

# **DOBRE WIEŚCI**



DANA  
PERINO

# DOBRE WIEŚCI



WSPOMNIENIA  
NAJSŁYNNIEJSZEJ  
RZECZNICZKI PRASOWEJ  
BIAŁEGO DOMU

---



WYDAWNICTWO  
KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*And the Good News Is...*

Redaktor prowadząca: Beata Piecychna

Przełożyła: Edyta Świerczyńska  
Redakcja: Urszula Śmietana  
Korekta: Justyna Tomas  
Zdjęcie na okładce: Melanie Dunea / CPi Syndication  
Projekt graficzny okładki: Łukasz Werpachowski  
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2015 by Dana Perino  
This edition published by arrangement with Grand Central Publishing,  
New York, New York, USA. All rights reserved.

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo,  
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus  
Copyright © for Polish translation by Edyta Świerczyńska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2016  
ISBN 978-83-65442-84-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:  
[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiectwo  
E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)  
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie  
[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)



---

## Spis treści

Wstęp.....	9
ROZDZIAŁ 1. <i>Wide-open space,</i> czyli wszystko się może zdarzyć.....	29
ROZDZIAŁ 2. Miłość od pierwszego leczenia.....	95
ROZDZIAŁ 3. Wchodząc na mównicę.....	133
ROZDZIAŁ 4. <i>The Five</i> .....	179
ROZDZIAŁ 5. Dana radzi.....	211
ROZDZIAŁ 6. Kurtuazja stracona i odzyskana.....	263
ROZDZIAŁ 7. Nie boję się mieć rację.....	303
I jeszcze jedno.....	309
Podziękowania.....	315
O autorce.....	320



## WSTĘP

### *(Podbite) Oko Bagdadu*

Wiedziałam, że praca rzecznika prasowego Białego Domu będzie pełna napięć i wyzwania, ale nigdy nie przypuszczałam, że doznam w związku z nią obrażeń fizycznych. W nie naruszonym stanie udało mi się dotrzeć prawie do końca – piszę „prawie”, ponieważ ten stan rzeczy zmieniła pewna ściśle tajna podróż do Bagdadu, którą odbyłam na sześć tygodni przed zakończeniem prezydentury George’a W. Busha.

W grudniu 2008 roku niewielka grupa pracowników Białego Domu otrzymała zadanie przygotowania poufnej wizyty w Afganistanie i Iraku. Miał to być ostatni zagraniczny lot prezydenta na pokładzie Air Force One, a my musieliśmy zachować szczególną ostrożność, aby utrzymać wszystko w tajemnicy, ponieważ prasa już zaczynała węszyć. Reportery, zajmujący się tematami związanymi z prezydentem, podejrzewali, że będzie on chciał po raz ostatni odwiedzić jed-

nostki żołnierzy tam stacjonujących. Doskonale znali jego styl rządzenia.

Na mnie spoczęła odpowiedzialność za przygotowanie wizyty od strony prasowej, a pomagał mi w tym Gordon John-droe, mój zastępca i rzecznik Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Na szczęście potrafi on zachować kamienną twarz. Niezręcznie nam było wciskać kit ludziom z najbliższego otoczenia i wymykać się „na kawę”, aby nikt nie mógł słyszeć naszych poufnych rozmów. Nie lubiłam mieć tajemnic przed współpracownikami, ale rozumiałam, że w tym przypadku była to wyższa konieczność.

Zebraliśmy grupę dziennikarzy, fotoreporterów i kamerzystów, którzy mieli być z nami na miejscu: tylko oni i ich redaktorzy naczelni zostali wtajemniczeni w sprawę. Dodatkowo reporterzy mogli powiadomić o wyjeździe jednego członka rodziny, który również zobowiązany był do zachowania tajemnicy. Jeśli nastąpiłby choć jeden przeciek, wizyta musiałaby zostać odwołana.

Mnie obowiązywały te same zasady, z jedną różnicą: mój mąż, Peter, wiedział dokładnie, gdzie i po co wyjeżdżam. Martwił się – nie samym lotem, bo nie ma bezpieczniejszego samolotu niż Air Force One – ale potencjalnym niebezpieczeństwem, jakie groziło nam już na miejscu. Wiedział, że gdy tylko wylądujemy, wróg może próbować pokrzyżować plany naszej wizyty, a nawet zaatakować prezydenta. Mieliśmy z mężem też inny problem. W tym samym czasie miał on być świadkiem na ślubie swojego przyjaciela w Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis w stanie Maryland. Musiał wymyślić dla mnie jakąś wymówkę. Skończyło się na tym, że przeprosił przyjaciela, tłumacząc zgodnie z prawdą, że zatrzymały mnie obowiązki służbowe, co jednak było kiep-

skim wytłumaczeniem nieobecności na ceremonii zawarcia związku małżeńskiego.

Kiedy trzynastego grudnia nad Waszyngtonem zachodziło słońce, zabrano nas spod domów i w nieoznakowanych samochodach przewieziono do bazy sił powietrznych w Andrews. Mieliśmy tam czekać na przybycie prezydenta oraz doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, Steve'a Hadleya, którzy lecieli z Camp David. Prezydent, ubrany w płócienną kurtkę i czarną bejsbolówkę z napisem „43”, zatrzymał się u stóp schodów do samolotu i z uśmiechem zapytał: „Wszyscy gotowi? W drogę!”, a następnie różnym krokiem pokonał wszystkie stopnie.

Gdy znalazłam się na pokładzie, ruszyłam prosto do znajdującej się z przodu samolotu salki konferencyjnej i położyłam tam swoją torebkę. W salce znajduje się duży owalny stół, dookoła którego ustawiono fotele obrotowe. Jest też tam duży ekran, który służy do odbywania poufnych telekonferencji lub oglądania telewizji. Większość pracowników lubiła tam pracować, ucinać sobie pogawędki, a czasami pograć w karty. Wzdłuż ścian ciągnie się długa wygodna ława, która pod ekranem wygina się w półokrąg. Ponieważ na pokładzie było zbyt mało łóżek, wybrałam sobie do spania właśnie to miejsce, ponieważ jako ze wszystkich najmniej bez problemu się tam mieściłam. Wszyscy zajęli swoje miejsca i zaczął się nasz trzynastogodzinny lot.

Na kilka godzin przed lądowaniem w Iraku wszyscy po kolei doprowadzaliśmy się do porządku, zajmując w tym celu małe łazienki na pokładzie samolotu. Zabawnie jest zmieniać ubranie w pomieszczeniu niewiele większym od budki telefonicznej. W ciągu dziesięciu minut zdążyłam się umyć, uczesać i nałożyć lekki makijaż.

Ze względów bezpieczeństwa kapitan Air Force One, pułkownik Mark Tillman, wykonał manewr szybkiego zejścia do lądowania ciasną spiralą w chronionej przestrzeni powietrznej. Prezydent przyglądał się temu z kokpitu, a już kilka minut później koła samolotu łagodnie dotknęły pasa lotniska. Pierwszy przystanek: Bagdad.

Prezydent spędził cały dzień w towarzystwie premiera Nouri al-Maliki, prowadząc wielotematyczne rozmowy, począwszy od szkolenia żołnierzy poprzez kwestie związane z buntownikami, a skończywszy na zagadnieniach dotyczących reform gospodarczych. Najważniejszym punktem rozmów było porozumienie o statusie sił, określające zasady stacjonowania żołnierzy amerykańskich w Iraku, które prezydent Bush starał się sfinalizować z tamtejszymi władzami. Niestety Maliki miał pewne zastrzeżenia co do treści porozumienia, ale zgodził się wypracować kompromis. Następnie udaliśmy się na konferencję prasową. Kolumna samochodów poruszała się po nierównej drodze, ale poza lekkimi podskokami na siedzeniach nic groźnego nam się nie przydarzyło, cało i zdrowo dotarliśmy na miejsce.

Weszłam tylnym wejściem przed przywódcami obu krajów. To była historyczna chwila: ostatnie wspólne publiczne wystąpienie prezydenta Busha i premiera Iraku. Salę po brzegi wypełniali pracownicy ochrony i dziennikarze, w tym reporterzy z naszej grupy. Zajęliśmy miejsca z boku. Po mojej lewej usiadł Ed Gillespie, doradca prezydenta, a po prawej stronie miałam tłumacza, przed którym stał mikrofon na żurawiu przytrzymywany przez stalowy statyw. Sala była stosunkowo mała i pełna sprzętu technicznego: kamery, reflektory i kable mieszały się z tłumem ludzi. Poczułam swo-



istą solidarność z irakijskimi dziennikarzami, którzy zajmowali pierwsze dwa rzędy. Powiedziałam Edowi, że dorastałam w przekonaniu, że nigdy nie będą mieli szansy, by zadać pytanie przywódcy swojego kraju, a co dopiero prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Kibicowałam im w duchu – ale to miało się szybko skończyć.

Prezydent Bush i premier Maliki weszli na mównice i rozpoczęły się powitalne przemówienia. Kątem oka zobaczyłam, jak jeden z tych irakijskich „dziennikarzy” zdejmuje but i z całej siły celuje nim w głowę prezydenta Busha. Ten zdążył się uchylić, a but trafił w ścianę. BUM! Napastnik natychmiast rzucił drugim butem. BUM! Prezydent znowu odskoczył, ale nie wyglądał na rozgniewanego czy przestraszonego, tylko rozbawionego. Jego spojrzenie mówiło: „Co z tobą jest nie tak?”.

Wtedy zawyłam, ale nie ze strachu, lecz z bólu. Kiedy leciał drugi but, jeden z agentów ochrony prezydenta zerwał się, by go osłonić, i przewrócił statyw mikrofonu. Stalowe ramie świsnęło i trafiło mnie w kość policzkową tuż pod prawym okiem. Patrzyłam wtedy w drugą stronę, na przywódców, i zupełnie nie spodziewałam się tego ciosu. Zawyłam i wpadłam na Eda. Ból był przeszywający, a ja poczułam się jak bohater kreskówki, który po uderzeniu zobaczył wszystkie gwiazdy.

Przeszła mi też przez głowę myśl, że zaraz wysadzą nas w powietrze, a rzucanie butem miało odwrócić naszą uwagę od znacznie bardziej niebezpiecznego ataku. Spojrzałam na tył sali, gdzie ułożono pokrowce wszystkich kamer oraz sprzętu nagrywającego – idealne miejsce na ukrycie bomby – i na ten widok pomyślałam tylko: „No to po nas”.

Na szczęście okazało się, że buty stanowiły jedyną broń na sali.

Ed przytulił moją głowę do swojej piersi, a ja zakryłam oko dłonią. Poczekaliśmy, aż każą nam opuścić salę tylnym wyjściem. Kiedy zagryzałam zęby z bólu, „obuwniczy” zamachowiec odbierał lekcję dobrych manier od irakijskich agentów ochrony. Rzucili go na podłogę i unieruchomili w takiej pozycji, a on krzyczał znacznie głośniejszym głosem niż ja chwilę wcześniej.

W całym tym zamieszaniu prezydent zapewniał agentów swojej ochrony, że nic mu nie jest, i ruchem ręki odwołał ich na pozycje. Powiedział do mikrofonu: „Nie ma powodu do niepokoju, wszystko jest w porządku. Niech wszyscy się uspokoją. Kontynuujmy”. Nawiązał kontakt wzrokowy z szefem swojej ochrony i skinął głową – to była jego ostateczna decyzja.

Z kolei premier Maliki cały aż się trząsał. Czuł się zażenowany naruszeniem bezpieczeństwa oraz tym, że jeden z jego rodaków zamierzył się butami na zaproszonego gościa. Premier uznał, tak jak ja zresztą, że trzeba będzie przerwać konferencję prasową. Ale prezydent Bush nie miał zamiaru pozwolić, żeby jakiś marny butomiotacz przegonił go z sali: zatrzymał Malikiego na mównicy, a następnie zwrócił się do reportera, któremu przerwano, i poprosił, żeby ten kontynuował. Dziennikarz, lekko zbity z tropu, starał się sprostać życzeniu prezydenta.

W środku cała byłam wyjąłym bólem, ale siedziałam cicho. Kiedy zdałam sobie sprawę, że nie opuścimy sali od razu po tym incydencie, rozejrzałam się w poszukiwaniu wyjścia. Nie byłam pewna, jak wielkiego spustoszenia dokonał staryw na moim policzku, ale domyślałam się, że nie jest dobrze. Wiedziałam, że zespół medyczny Białego Domu znajdował się nieopodal; musiałam jakoś się do niego dostać. Na ratunek przybył mi żołnierz korpusu piechoty morskiej, któ-

ry widział, jak oberwałam statywem. Podał mi rękę i wyciągnął mnie ponad krzesłami do wyjścia.

Ale wciąż nie mogłam opuścić sali. Irakijczycy pozamykali wszystkie drzwi i nikogo nie chcieli wypuścić. Wykonywali rozkaz zabezpieczenia „miejsca zbrodni”. Zdjęłam dłoń z oka, by pokazać im, że naprawdę potrzebowałam pomocy. „Potrzebuję lekarza”, powiedziałam.

Irakijski agent ochrony, który zablokował mi przejście, na te słowa aż się rozpromienił, uderzył ręką w pierś i zakomunikował: „Och, ja jestem lekarzem!”, wyrażając tym samym chęć pomocy. (Należał do dużego grona wykształconych Irakijczyków – inżynierów, lekarzy i prawników – którzy w czasie wojny podjęli dobrze płatną pracę w ochronie). Miał dobre intencje, ale ja już zaczynałam panikować z powodu zamknięcia w tym klaustrofobicznym pomieszczeniu, a oko pulsowało mi z bólu. „Eee... potrzebuję *mojego* lekarza...”, błagałam. Żołnierz naszej piechoty morskiej trzymał rękę na moich plecach w obronnym geście.

Dr Richard Tubb, szef zespołu medycznego Białego Domu, też mnie szukał. Od prezydenta i jego agentów ochrony usłyszał, że doznałam urazu, ale nikt nie znał szczegółów. Kiedy tylko dr Tubb sprawdził stan zdrowia prezydenta, ten polecił mu mnie znaleźć, ponieważ widział moje łyzy i niepokoił się moim stanem. W całym tym zamieszaniu doktor odnalazł mnie wzrokiem i poprosił jednego z naszych agentów ochrony, żeby pomógł mi wydostać się do hallu. Kiedy już był przy mnie, szybko zlustrował mój stan, westchnął: „Ojej!”, a następnie podał mi woreczek z lodem i kazał przyłożyć na obolałe miejsce. Uważał, że kość raczej nie została złamana, ale nie miał co do tego pewności, ponieważ twarz miałam solidnie opuchniętą. Zauważyłam, że na

woreczku z lodem widnieje napis „BIEGUNKA”, więc zartowałam: „Co, do diaska, było w tej torebce, zanim włożył pan do niej lód?”. Zaśmialiśmy się, ale grymas uśmiechu przyprawił mnie o ból. „Auć”, wysyczałam i ponownie przyłożyłam woreczek do oka.

Jednak nie dane mi było długo odpoczywać. Kilka minut później, kiedy nieco ochłonełam, przypomniałam sobie nagle, że prezydent ma udzielić wywiadu dziennikarce stacji ABC, Marcie Raddatz. Z tego samego powodu, dla którego on chciał kontynuować konferencję – dla podtrzymania normalności – mnie zależało, żeby wywiad odbył się o czasie pomimo otaczającego nas chaosu. Pomyślałam, że prezydent powinien jak najszybciej udzielić wywiadu telewizyjnego i pokazać Amerykanom, że ma się dobrze, zachowuje spokój i nie przejął się incydentem z obuwiem w roli głównej.

Zanim mogłam zaznajomić prezydenta ze szczegółami wywiadu, musiałam zrobić mu telewizyjny makijaż. Kiedy w podróży towarzyszyła nam niewielka liczba osób – tak jak tym razem – przejmowałam również obowiązki charakteryzatorki. Nosiałam ze sobą zestaw pudrów, które tolerował, ale które zmywał z twarzy, kiedy tylko gasły światła kamer. Wyjęłam kosmetyczkę i czekałam na niego w kuluarach, wciąż przyciskając worek z lodem do oka.

Prezydent pojawił się od razu po zakończeniu konferencji. Pochylił się nade mną i objął ramieniem, pytając: „Co się stało? Widziałem, jak płakałaś, ale myślałem, że to dlatego, że ten facet rzucił we mnie butem”. Wsparałam się na nim, pozwalając sobie na chwilę ukojenia, ale chciałam szybko poprawić mu nastrój, więc odpowiedziałam: „Wie pan, że pana kocham, panie prezydencie – ale jestem dziewczyną z zachodu, zbyt twardą, by takie coś mnie ruszyło!”.

Potem poprosiłam, żeby usiadł, upudrowałam mu nos i czoło, przeczesałam grzebieniem włosy, w tym samym czasie zadając mu pytania, które, według mnie, mogłaby postawić mu Martha. Wydawał się dobrze przygotowany. „To nie jest moje pierwsze rodeo”, zażartował. Oczywiście wywiad poszedł znakomicie. Po obiedzie z irakijskimi i amerykańskimi wojskowymi oraz pracownikami ambasady w Bagdadzie ruszyliśmy kolumną z powrotem do Air Force One. „Cóż, poszło doskonale”, powiedziałam do Gordona. Wymieniliśmy znaczące spojrzenia, kręcąc głowami i nerwowo chichocząc. Przewidzieliśmy przecież wszystko – z wyjątkiem latających butów.

Na pokładzie samolotu poczuliśmy się jak w domu – bezpiecznie. Pielęgniarka dała mi *advice* i kazała trzymać łód przy oku w czasie całego lotu do Kabulu, stolicy Afganistanu. Ale nikt mi nie powiedział, że nie mogę się położyć.

Kilku moich współpracowników chciało popracować w salce konferencyjnej, więc zrezygnowałam z mojego miejsca na ławeczce i poszłam do kabiny przeznaczonej dla pracowników, w której znajdowało się dziesięć foteli rozstawionych po pięć po obu stronach stołu, przy którym nasi ludzie pracowali lub spożywali posiłki. Fotele były wystarczająco duże, żebym mogła się w nich wygodnie zwinąć w kłębek i zasnąć, ale ponieważ w samolocie pogaszono już światła, chwyciłam jedną z mat i koc polarowy, położyłam się na podłodze i przycisnęłam do ściany. Dosłownie za kilka godzin mieliśmy znowu lądować.

Na podłodze było mi zimno, ale nie chciałam się wiercić. Za każdym razem, kiedy poruszałam głową, odczuwałam ból – a także pulsowanie pod okiem, choć to zdążyło już zelżeć. Kiedy zaserwowano śniadanie, poczułam zapach kawy i pod-

niosłam się. Matę i koc odniosłam do schowka i przeszłam do salki konferencyjnej. Nie zdążyłam się jeszcze przejrzeć w lustro, ale po minach kolegów wiedziałam, że coś jest nie tak. Wszyscy wstrzymali oddech z przerażenia, a Mark Thiesen, który grywał w hokeja i pisał prezydenckie przemowy, na mój widok aż zasłonił usta dłonią. „O nie, spałeś na tym boku? Odplynęła ci tam cała krew!”. Pomknęłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Moje oko było tak podbite, że aż poczerwiano, a twarz mi tak spuchła, że przypominałam E.T.

Makijaż nic nie pomógł. Podbitego oka nie dało się zamaskować, a każde dotknięcie policzka sprawiało ból. Odświeżyłam się najlepiej, jak mogłam, przy pomocy gąbki i wody, spięłam włosy i przebrałam w cieplejsze ubranie. Kiedy przygotowywaliśmy się do lądowania, prezydent przyszedł sprawdzić, jak się miewam. Kiedy mnie zobaczył, aż się wzdrygnął. Zdawał sobie sprawę, że to musiało boleć, a wyglądało jeszcze gorzej. Jednak dałam radę uśmiechnąć się do niego, mówiąc: „Wszystko gra, nie ma problemu, nie ma czego oglądać, panie prezydencie!”. Chciałam być twarda.

W Kabulu było bardzo zimno. Kiedy o czwartej trzydzięści rano czasu lokalnego lądowaliśmy w bazie Bagram, wiał przenikliwy wiatr. To jednak nie przeszkodziło setkom żołnierzy stawić się na lotnisku, by powitać naczelnego dowódcę sił zbrojnych. Patrząc na nich, na chwilę zapomniałam o podbitym oku. Podczas przemówienia prezydenta wiwatowali, a wielu z nich wtedy właśnie uroczystie podjęło się pozostania w Afganistanie na następną turę, czyli cztery kolejne lata, w służbie wojskowej na misji. To naprawdę wyjątkowe kobiety i wyjątkowi mężczyźni.

My jednak nie mieliśmy czasu, by zostać dłużej na tym uroczystym zaprzysiężeniu. Musieliśmy szybko wsiąść na

pokład helikoptera Marine One, który jest szybszym i bezpieczniejszym środkiem transportu niż samochody. Marine One czekał już na nas w bazie – prezydent Bush miał udać się nim na spotkanie z prezydentem Afganistanu, Hamidem Karzajem. Spoglądając przez okno, widziałam (i wyczuwałam) dym z kominów, który piekł mnie w oczy i świdrował w nosie. Miasto było szare, a ruch w nim zamarł. Zupełnie jakbym oglądała czarno-biały film – nie widać było prawie żadnych kolorów.

Po krótkim locie nagle naszym oczom ukazał się zamek Arg (tur. cytadela). Wzniesiono go w 1880 roku na rozkaz jednego z królów; stał się siedzibą władców, a następnie pałacem prezydenckim. Zbudowano go z szarej cegły, która miejscami była już ukruszona. Zamek chroniła fosa (bez smoka, niestety). Z zewnątrz przypominał średniowieczne budowle, jakie znamy z książek, ale w środku go zmodernizowano, dekorując wnętrza sofami o jedwabnej tapicerce, kandelabrami, historycznymi artefaktami i dziełami sztuki autorstwa słynnych afgańskich artystów.

Na zamkowym podwórku czerwone dywany rozwijał najwyższy człowiek, jakiego w życiu widziałam – i robił to bez niczyjej pomocy. Ze względów bezpieczeństwa poinformowaliśmy ich o naszej wizycie dosłownie kilka godzin wcześniej, więc nie zdążyli wszystkiego przygotować przed przyjazdem prezydenta Busha. Mężczyzna rozwijający dywany wyglądał jak olbrzym André, który grał w filmie *Narzeczona księcia* (potem dowiedziałam się, że podobnie jak André, cierpiał na chorobę zwaną gigantyzmem). Od dziecka pracował na zamku. Zwyczajnych rozmiarów człowiek utonąłby w tradycyjnym ubraniu, które tamten miał na sobie, ale jemu ten strój sięgał do kolan. Ja sama sięgałam mu ledwie do pasa.

Prezydent Bush poprosił mnie, bym wyszła z nim na powitanie prezydenta Karzajego, którego poznałam podczas jego wizyty w Białym Domu. Miałam do niego dystans – również z powodu oskarżeń o korupcję – ale potrafił być całkiem uroczym człowiekiem. Pamiętam, co generał Colin Powell powiedział mi kiedyś podczas pewnej uroczystości w Białym Domu: „Strzeż się dyktatorów, którzy świetnie władają językiem angielskim”. Tę mądrą radę wzięłam sobie na zawsze do serca.

Karzaj oglądał w wiadomościach materiał o wizycie prezydenta Busha w Iraku i słyszał o incydencie z butem, ale nie wiedział, że i ja na tym ucierpiałam. Kiedy spojrział na moją twarz, wstrzymał oddech i chwycił mnie za ręce, a następnie spytał, czy czegoś mi potrzeba. „Proszę się o mnie nie martwić, panie prezydencie. Tamten gorzej oberwał”, powiedziałam. Karzaj zaniósł się śmiechem, a prezydent Bush przewrócił tylko oczami i poklepał mnie po ramieniu.

W pałacu prezydenckim spędziłyśmy kilka godzin, podczas których prezydent Bush spotkał się z dowódcami wojskowymi, przywódcami z terytoriów plemiennych oraz dyplomatami. Kiedy te spotkania dobiegły końca, prezydent poprosił Karzajego o rozmowę na osobności, a ja w tym czasie dołączyłam do naszych dziennikarzy. Szybko odnalazłam kilku swoich ulubieńców; fotoreporterów, z którymi współpracowałam od lat. Powiedzieli mi, że z szacunku do mnie zawarli pakt, by nie publikować żadnych moich zdjęć z podbitym okiem. Był to bardzo miły gest, który pokazywał też, jak dobre relacje łączyły moje biuro z korpusem prasowym Białego Domu (z pojedynczymi wyjątkami, których nie wymienię z imienia i nazwiska!).



Oczywiście kiedy wróciliśmy do Waszyngtonu, a ja opuściłam pokład Marine One, na miejscu znaleźli się dziennikarze, którzy żadnego paktu nie zawierali, a ich aparaty od razu poszły w ruch. Do tego czasu opuchlizna na moim oku zdążyła już porządnie dojrzeć, a reporterzy mieli okazję bardzo dokładnie mi się przyjrzeć, zanim zniknęłam we wnętrzu zachodniego skrzydła Białego Domu, gdzie czekali na mnie pracownicy biura prasowego i ich uściski oraz pytania o przebieg wizyty.

Podbite oko towarzyszyło mi do końca kadencji prezydenta, tj. przez kolejne sześć tygodni, a skóra stopniowo zmieniała kolor z czerni na purpurę, a potem na błękit, zieleń i żółć. Górna część kości policzkowej bolała mnie jeszcze przez wiele miesięcy, co najmocniej odczuwałam na zimnie. Goiło się długo.

W historii zapisali się inni prezydenci rzecznicy prasowi, którzy wykazali się znacznie większym heroizmem ode mnie, na przykład James S. Brady, sparaliżowany w wyniku postrzału podczas zamachu na życie prezydenta Ronalda Reagana w 1981 roku. Jego imieniem nazwano salę briefingów w Białym Domu. Brady kontynuował karierę w służbie publicznej aż do śmierci w sierpniu 2014 roku, koncentrując się na kwestii kontroli nabywania i posiadania broni. Obrażenia, jakich doznał podczas zamachu, okazały się poważne i trwałe. Ja z kolei ledwie przypominam sobie incydent z Podbitym Okiem Bagdadu. Do dziś jestem jedynym rzecznikiem prasowym, który przyjął cios mikrofonem za prezydenta – i mam nadzieję, że tak pozostanie. Jednak na tym też polega nasza praca: od czasu do czasu obrywamy zamiast szefa. Ale nawet najgorszy dzień w robocie nie zmienia faktu, że pracę

w administracji George'a Busha wspominam jako najlepszy okres w moim życiu.

### *Dobra wiadomość jest taka...*

W swojej książce opisuję niespotykane okoliczności, w jakich zostałam rzecznikiem prasowym Białego Domu, oraz sytuacje, których byłam świadkiem, i doświadczenia, jakie zebrałam w tej pracy. Piszę też o tym, jak praca dla prezydenta Stanów Zjednoczonych wpłynęła na późniejszy przebieg mojej kariery, która ostatecznie zatoczyła koło, a ja znalazłam się tam, gdzie od początku chciałam być: w studiu telewizyjnym programu publicystycznego, komentując bieżące wydarzenia polityczne i kulturalne.

Byłam pierwszą i jak dotąd jedyną kobietą powołaną na stanowisko rzecznika prasowego Białego Domu z ramienia Partii Republikańskiej, a obowiązki przyszło mi wypełniać w czasach naznaczonych zagrożeniem terrorystycznym, dwiema wojnami, strzelaninami w kraju, zajadłymi debatami politycznymi, nominacjami do Sądu Najwyższego, klęskami żywiołowymi i potężnym kryzysem finansowym. Przemawiałam w imieniu narodu oraz prezydenta Stanów Zjednoczonych, co traktowałam jako wielki zaszczyt.

Podczas mojej pracy w Białym Domu za cel postawiłam sobie reprezentowanie Stanów Zjednoczonych i prezydenta z honorem, godnością i klasą. Starannie dobierałam słowa, uważałam też na ton głosu – jeśli stwierdzałam, że prezydentowi nie spodobałoby się coś, co miałam powiedzieć lub jak miałam to powiedzieć, nie mówiłam tego. W pracy stawiałam na dobre przygotowanie, zaangażowanie i przystępność dla innych. Słowa, które wówczas wypowiadałam, są

powszechnie znane. Materiał tej książki stanowią natomiast moje uczucia, myśli i obserwacje, dotyczące tamtych chwil i wydarzeń. To moje osobiste refleksje i obrazy, jakie zapamiętałam z czasów pracy w Białym Domu.

*Dobra wiadomość jest taka...* – to fraza, którą ciągle powtarzam. Z natury jestem optymistką i chciałabym pokazać ludziom, że w Stanach nic nigdy nie jest tak złe, na jakie wygląda, ponieważ dysponujemy wieloma możliwościami, by rozwiązywać nasze problemy (choć czasami brakuje nam do tego chęci). Optymizm zawsze był moją bronią w walce z przeciwnościami losu. Głos z tyłu głowy powtarza mi: „Ramiona wyprostowane, głowa do góry – dasz sobie z tym radę”. Taka postawa nie zawiodła mnie w obliczu najróżniejszych wyzwań.

Instynktowne poszukiwanie jasnych stron każdej sytuacji mam zapisane w DNA. Dorastałam na ranchu w Wyoming, gdzie życie bywa ciężkie i nieprzewidywalne, więc człowiek musi zdać się w pewnym stopniu na wiarę, że wszystko jakoś się ułoży. A mój optymizm przyciągał mnie do innych optymistów.

Pamiętam, że w dzieciństwie głos przemawiającego Ronalda Reagana sprawiał, że czułam się bezpieczna. Bardzo podobało mi się to, co mówił o życiu po słonecznej stronie wzgórza – taki obraz idealnie do mnie pasował. Przyciągało mnie jego podejście do życia i przywództwa.

Wiele lat później mój własny optymizm okazał się użyteczny, kiedy sama mówiłam do prezydenta Stanów Zjednoczonych podczas briefingu. Wiedział, że czasami będziemy mieli twarde orzechy do zgryzienia, i wtedy bardziej od szczegółów złych wiadomości interesowały go konkretne sposoby wyjścia z opresji. W ciągu tych wszystkich lat pracy dla George’a Busha stał się dla mnie kimś więcej niż tylko szefem czy na-

wet prezydentem Stanów Zjednoczonych. Stał się dla mnie drugim ojcem, przyjacielem i powiernikiem.

W tej książce opisuję zrzącenia losu, które przywiodły mnie do Gabinetu Owalnego. Wiele osób zakłada, że byłam bardzo aktywnym członkiem Partii Republikańskiej i że znałam rodzinę Bushów czy Cheneyów i to dzięki temu otrzymałam tę posadę. Ale przed atakiem na WTC nigdy niko- go z nich nawet nie spotkałam. Urodziłam się w Wyoming, dorastałam w Kolorado i planowałam zająć się dziennikar- stwem telewizyjnym. Zamiast tego – w sposób bardzo cha- rakterystyczny dla kolei mojego życia – te plany zmieniała na- darzająca się okazja i moja otwartość na nią. Swoją pierwszą posadę rzecznika prasowego na Kapitolu, powrót do Wa- szyngtonu i współprowadzenie programu *The Five* w sta- cji FOX zawdzięczam temu, że znalazłam się we właściwym miejscu i we właściwym czasie, przygotowana i gotowa pod- jąć wyzwanie. W podobnych okolicznościach podejmowa- łam najważniejszą decyzję w życiu: zagadania do faceta, któ- ry siedział obok mnie w samolocie (a który później został moim mężem).

Część tej książki zawiera ciekawe opowieści o administra- cji George'a Busha, o których wcześniej nie słyszeliście. To wydarzenia, w których brałam udział, opowiedziane z mo- jego punktu widzenia, na przykład jak prezydent bronił racji stanu, kiedy kamery były wyłączone, jego wzruszają- ce spotkania z rannymi żołnierzami czy decyzje, które po- dejmował, kierując się zasadami, a nie populizmem. Opo- wiadam o przygodach, które nauczyły mnie pokory, a także o tych, które wciąż rozbawiają mnie do łez. Jest tu historia o tym, jak prezydent uczy mnie cedowania własnych zasług na kogoś innego, by ten ktoś mógł dojść do upragnionego

celu; jest opowieść o naszej małej intrydze, której intencją była pomoc młodej reporterce, którą potraktowano nie fair; opowiadałam też o tym, jak prezydent pomógł mi pozbyć się uczucia goryczy i zastąpić je przebaczeniem, kiedy spotkała mnie nielojalność ze strony byłego współpracownika. Kiedy spisywałam wszystkie te wydarzenia i momenty, czułam się tak, jakbym ponownie je przeżywała – i to było wspaniałe.

Znajdują się tu również moje przemyślenia dotyczące idei kurtuazji, której znaczenie poznałam w dzieciństwie i w otoczeniu rodziny Bushów, a która coraz bardziej zanika w świecie polityki i popkultury. Martwi mnie, że dzisiejszy dyskurs zdominowany jest przez agresję i złośliwość. Jednak uważam, że nie wszystko jeszcze stracone. Wierzę, że wciąż są sposoby na to, by ucywilizować publiczne debaty, ponieważ dobre maniery i uprzejmość są kwestią wyboru. Nie musimy ośmieścić komentarzy innych, ale jesteśmy też odpowiedzialni za swoje własne słowa. Mamy to szczęście, że żyjemy w kraju, w którym gwarantuje się nam wolność słowa – korzystajmy z niej mądrze. Musimy również zacząć zdawać sobie sprawę z tego, że ludzie, którzy nie podzielają naszego zdania, nie są naszymi wrogami. Jesteśmy jednym narodem, a nasze czyny powinny tę jedność odzwierciedlać.

Ta książka jest też dla mnie okazją do podzielenia się z czytelnikami garstką porad i wskazówek dotyczących życia i kariery, które sama wielokrotnie wykorzystywałam. Ponieważ pracowałam na wysokich stanowiskach, często pytano mnie, co poradziłabym młodym ludziom, którzy chcą osiągnąć sukces (a wielu z nich chciałoby kiedyś zostać rzecznikiem prasowym Białego Domu). Zauważyłam, że zwłaszcza młodzi ludzie i ich rodzice są spragnieni wiedzy na ten temat; w każdym zakątku kraju powtarzają się podobne pytania: powinie-

nem/powinnam iść na studia uzupełniające czy zacząć studiować prawo? Jak awansować ze stanowiska asystenckiego do kadry kierowniczej? Co powinienem/powinnam zrobić, kiedy mój szef jest palantem lub każe mi zrobić coś, co uważam za nieetyczne? Jaka jest recepta na zachowanie równowagi między pracą a życiem prywatnym?

Największym problemem przy próbie odpowiedzi na te i inne pytania jest dla mnie brak czasu i możliwości, by każdy przypadek potraktować indywidualnie; z kolei czuję się winna, jeśli nie odpowiem na dane pytanie. Uważam, że każdy, kto osiągnął sukces, jest zobowiązany pomóc w tym innym. Na swojej drodze miałam szczęście spotykać wielu mądrych ludzi, służących mi radą i dobrym słowem, dzięki czemu zgromadziłam wiele pożytecznej wiedzy i wskazówek, którymi dzielę się w mojej książce – tym samym pomaga mi ona rozwiązać wyżej wspomniany problem „podaży i popytu”. W trzech sekcjach zawarłam garść ważnych porad, które można bezpośrednio odnieść nie tylko do obecnej pracy, ale i dalszego przebiegu zawodowej kariery. Gdybym była rodzicem, wychowawcą czy pracodawcą, chciałabym, żeby moje dzieci czy pracownicy przeczytali tę właśnie część tej książki – czyli łatwe do strawienia porady w pigułce, które pomogą im osiągnąć sukces oraz stać się bardziej produktywnymi i zadowolonymi z życia.

Uważam, że pozytywne nastawienie oraz okazywanie szacunku innym i godne ich traktowanie prowadzą do osiągnięcia sukcesu w życiu prywatnym i zawodowym. Żyjąc zgodnie z tą formułą, nigdy nie „przegramy”. Teraz wiem też, że idealne plany, które wykoncypowała moja osobowość typu A, uległy zmianom na lepsze – zostały zastąpione przez nowe projekty, których wprawdzie nie przewidziałam, ale w któ-

rych zdecydowałam się wziąć udział, niezależnie jak trudne i szalone wydawały się być na początku.

Mam szczerą nadzieję, że po lekturze tej książki moi czytelnicy dojdą do wniosku, że nie jest ważne, skąd się pochodzi – można skończyć prestiżową uczelnię lub wychowywać się na małej farmie, a potem zostać doradcą prezydenta i odwiedzać Gabinet Ovalny. Nikt nie powinien wychodzić z założenia, że jeżeli nie skończył Harvardu, to nie da rady dostać się na sam szczyt. Mam nadzieję, że historia mojego dorastania, opowieści o latach spędzonych w Białym Domu i pracy w telewizji zainspirują czytelników. Nie zawsze było kolorowo – zdarzały się lekcje pokory i trudne chwile, dzięki którym woda sodowa nie uderzyła mi do głowy. Ale miałam też okazję podróżować po różnych krajach i doceniam, jaką jestem szczęściarą, że urodziłam się w Stanach Zjednoczonych i mam rodzinę, która mnie kocha. A jako bonus: jestem dumną mamą psa Jaspera (którego nazywam psem Ameryki), o którym więcej w rozdziale czwartym.



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

Spodobał Ci się fragment  
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

[www.WydawnictwoKobiece.pl](http://www.WydawnictwoKobiece.pl)

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



ul. Kolejowa 12E/3  
15-701 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059